Dodatek do Nr. 38 „Prawdy".

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 19. Sobota, dnia 19-go Września. Rok 1908

A. GENNEVRAYE.

ULICZNIK.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Chirurg zbliżył się do Bussarda, podniósł mundur i ujrzał improwizowaną przewiązkę.

— Jakiś nowicyusz opatrywał cię, sierżancie, chociaż zawsze lepsze to, jak nic. Furgony nasze znajdują się niedaleko, każę zabrać cię do lazaretu.

Przeszedł do innych, udzielając każdemu pomocy. Potem wsiadł na konia i odjechał.

Niezadługo ukazały się furgony, posługacze umieścili w nich chorych.

— Daj mi rękę, chłopcze — rzekł Bussard, gdy przyszła na niego kolej — jeśli się jeszcze wygrzebię, nie zapomnę, com ci winien.

Izydor podał mu sakiewkę i zegarek.

— Schowaj to — rzekł — jeśli klapnę, lepiej, że dostanie się tobie, niż posługaczom.

Po godzinie odpoczynku batalion udał się w dalszą drogę. Marsz trwał do świtu i po wysiłkach dnia całego był niezmiernie utrudzający.

Siódmego sierpnia, o 10-ej zrana, żuawi przybyli do Saverne, gdzie złączyli się z pułkiem. Pułkownik z niepokojem oczekiwał wiadomości o poniesionych stratach. Oficerowie zgromadzili się koło niego.

— Podpułkownik Bertrand? — zapytał, ujrzawszy kapitana Collet.

— Zabity.

Nastąpiła chwila milczenia. Pułkownik uchylił kepi, oficerowie poszli za jego przykładem.

— Straciłem przeszło dwustu ludzi, rannych i zabitych — raportował kapitan Collet. — Pozwolę sobie zwrócić uwagę pana pułkownika na szeregowca Izydora Gaveau, który pod ogniem nieprzyjacielskiej bateryi uniósł zwłoki podpułkownika Bertranda, a później ocalił rannego sierżanta Bussarda. Młody ten rekrut sprawował się wzorowo, równie jak wielu innych podoficerów i żołnierzy, których nazwiska pragnąłbym wymienić.

— Nie brak nam mężnych, kapitanie — odparł pułkownik z powagą. — Odczytać listę brakujących — dodał, zwracając się do sekretarza.

Twarz jego, zarówno jak obecnych oficerów, miała wyraz smutny i surowy; w milczeniu z odkrytą głową słuchał długiego szeregu wymienianych nazwisk.

Gdy skończono, pułkownik odetchnął głęboko.

— Nie żałujmy tych, którzy polegli, moje dzieci — rzekł poważnie — a prośmy Boga, by na przyszłość chronił nas od większego nieszczęścia: od klęski.

Pułk zatrzymał się w Saverne dla wypoczynku, tornistry jednak żołnierzy zostały na polu walki, i trzeba się było obejść bez rzeczy najpotrzebniejszych. Żuawi byli głodni i zmęczeni; na szczęście, w obozie nie brakło żywności, nakarmiono ich i zaopatrzono w niezbędne dla żołnierza przedmioty. Potem każdy szukał sobie miejsca, aby się przespać i odpocząć. Z rozkoszą utrudzeni biedacy wyciągali znużone członki na słomie w stodołach, w stajni oborze, a nawet pod gołem niebem. Mogli wreszcie spodziewać się nocy spokojnej.

O świcie opuszczono Saverne, a 16-go wieczorem ukazała się linia kolei żelaznej, która miała ich odwieźć do Szalons, dokąd przybyli dnia następnego.

Podróż wagonem żywo przypomniała Izydorowi drogę do Strasburga. Ileż zmian zaszło w ciągu tak krótkiego czasu! Jaka różnica w usposobieniu armii! Wówczas nadzieja zwycięstw i pragnienie sławy świeciły wszystkim, jak gwiazda przewodnia, a dzisiaj!... Zdawało mu się, że słyszy poważny głos Alzatczyka: „A brońcie nas dobrze, dzieci!"

Niestety! czyż byli winni temu, co się stało? Zastanawiał się nad sobą i swojem postępowaniem, czynił zapewne to samo każdy z posępnych jego towarzyszów, i sumienia ich były spokojne: spełnili swój obowiązek. Świadczyły o tem ich rany, ich surowe twarzy, ich wzrok ponury, lecz nie zawstydzony.

W Szalons zaopatrzono pierwszy pułk żuawów w naboje, żywność, tornistry i inne rzeczy niezbędne. 20-go sierpnia rozdano żołnierzom nagrody i awanse. Pułkownik Carteret-Trekurt został generałem, a miejsce jego zastąpił pułkownik Barrachin.

Tegoż dnia wieczorem odszedł do Paryża list pod adresem:

Sierżant Gaveau, Dom Inwalidów!

„Jestem kapralem! najlepszy mój przyjacielu! brzmiały pierwsze słowa tego listu. — Kapralem! Nie mogę temu uwierzyć. Ja, rekrut, od kilku tygodni dopiero zostający w służbie — kapralem! Widzisz, drogi przyjacielu, że zacząłem już wstępować na drabinę stopni wojskowych. To mię uszczęśliwia i czyni niezmiernie dumnym, choć jeszcze dotąd nie mogę wyjść z podziwienia. Gdy usłyszałem swoje imię, zdawało mi się, że to chyba pomyłka, że ktoś inny tego samego nazwiska znajduje się w pułku. Bo doprawdy nie wiem, czy zasłużyłem na to. Mówią, że udzielono mi awans za uniesienie z pola bitwy zwłok naszego dowódcy. W każdym razie jestem szczęśliwy, tembardziej, iż to cię powinno przekonać, że nie okazałem się tchórzem, że ulicznik, którego wydźwignąłeś z nędzy, wart był twego serca i opieki.

„Nie powodzi nam się, sierżancie, to smutne, lecz doprawdy, nie nasza wina: żuawi są zawsze pierwsi między walecznymi, lecz nie było jeszcze spotkania, żebyśmy nie stawali jeden przeciw czterem.

„Nie tracę nadziei, że powetujemy to wkrótce: przecież wojna jeszcze nieskończona! Proszę uściskać odemnie Lansonów i Melę.

„Szczerze przywiązany i wdzięczny

Izydor.
Kapral 1-go pułku żuawów.

„Niezapomnij, sierżancie, powiedzieć generałowi, że zostałem kapralem".

Dni upływały smutnie w Domu Inwalidów; garstka starych weteranów miała twarze pochmurne i wzrok zasępiony: telegramy i dzienniki donosiły jedynie o klęskach, stratach, przegranych bitwach, odwrocie armii! Rzeczy nieprawdopodobne! Wissemburg i Reischoffen krwawemi zgłoskami wypisały się w sercach Francuzów; nikt bez bólu nie wymawiał tych imion. Co to ma znaczyć? Wspaniała armia francuska, ten kwiat narodu, te piękne wojska, które Paryż żegnał z taką nadzieją i dumą, gdy przeciągały przez miasto, spiesząc na pole rozprawy, ta gwardya, strzelcy, żuawi — wszystko to w odwrocie?

Gaveau myślał o Izydorze; od czasu Wissemburga nie miał od niego wiadomości, a tyle strzałów padło odtąd znowu! Czyż żaden go nie dosięgnął?

— Kto wie, czy biedak nie został gdzie w rowie!... A może ranny?

I sierżant czuł się bardzo nieszczęśliwym. Unikał ludzi, nie chodził nawet do Lansonów i tylko chciwie odczytywał gazety.

Nakoniec pewnego ranka przynoszą mu list z poczty.

Gaveau zadrżał. Niema odwagi spojrzeć na charakter pisma, decyduje się wreszcie — o Boże! to ręka Izydora!

— Kapral, został kapralem! — woła jak szalony, stukając drewnianą nogą po dziedzińcu.

Głos jego zwabia towarzyszów.

— Kto? co? — pytają.

— Izydor! został kapralem! A któżby!

I spieszy na pierwsze piętro do mieszkania generała.

— Panie generale, Izydor został kapralem! — melduje rozpromieniony. Snadź bił się odważnie!

W tej chwili stary wojak jest zupełnie szczęśliwym, nawet klęsk ojczyzny chwilowo zapomniał.

Generał w milczeniu uścisnął mu rękę.

Teraz kolej na Lansonów. Sierżant spieszy z dobrą nowiną, jakby odmłodniał o lat dziesięć.

Mela, słuchając listu, rozpłakała się i pobladła.

— Nie płacz, mała, będziesz żoną oficera — pociesza ją Gaveau wzruszony. — Niech matka zbiera pieniądze, żebyś miała posag, jak się patrzy!

Wieczór upłynął przyjemnie, pozwoliło im zapomnieć o nieszczęściach kraju. Napisano list zbiorowy do młodego kaprala, a nawet powstał był projekt odwiedzenia go w obozie pod Szalons. Lecz toby kosztowało dużo, a przytem Izydor mógł tymczasem dostać rozkaz wymarszu.

XVII.
Klęska.

31-go sierpnia o świcie 1 pułk żuawów wyruszył w drogę do Sedanu. Przedzierając się przez gęste lasy, nie bez trudu stanął nareszcie u celu i zajął wzgórze Garenne.

Wszyscy czuli, iż zbliża się chwila stanowcza, wszystkie twarze były poważne i zdecydowane.

Pogodne słońce oświetlało równinę. Czy podobna, aby w obliczu tego czystego, błękitnego nieba tysiące istot szlachetnych ginąć miały śmiercią gwałtowną? Czy to podobna? Każdy z nich przecież tam, w swojej ojczyźnie, ma żonę, matkę, serca kochające, które się modlą za niego... Któż go zabija? Jaką krzywdę wyrządził temu człowiekowi, którego wrogiem dziś zowie? Żadnej! Przed kilku tygodniami byliby sobie nazwajem podali przyjazne dłonie — dzisiaj los stawia ich naprzeciw siebie, by się mordowali okrutniej, niż dzikie zwierzęta...

O wojno, straszliwa wojno!

O wojno! ten ciebie nie zna, kto nie widział pobojowiska nazajutrz po krwawej rozprawie; nie miałby serca ludzkiego — ktoby nie zadrżał aż do głębi duszy na widok barbarzyństwa bratobójczej walki!

— Pić!... Wody!... Dobijcie!... — słychać ze stron wszystkich.

To wczorajsi bohaterowie, nędzniejsi dzisiaj od zbrodniarzy, skazanych na śmierć hańbiącą! Któż odgadnie i policzy wszystkie ich męczarnie, wszystkie skargi i jęki boleści, które się wznoszą ku niebu?

Pierwszy pułk żuawów z wysokości wzgórza Garenny przypatrywał się bitwie, wrzącej po stronie Bazeji. Bawarczycy kusili się daremnie o wzięcie żelaznego mostu, prowadzącego do wsi, bronionej przez piechotę morską. Dzielna to była obrona! W tym samym czasie Wirtemberczycy uderzyli na Donszery. Trudno było przeniknąć, co się działo po za tem.

Oficerowie w milczeniu obserwowali te ruchy.

Nareszcie pułkownik odebrał rozkaz. Pierwszy pułk żuawów miał się sformować w kolumnę i zająć pozycyę naprzeciw wsi Givonne.

Zabrzmiała komenda. Pułk w ściśnionych kolumnach posunął się naprzód i zajął wskazane stanowisko. Jednocześnie krzyżowy ogień artyleryi zasypał go gradem kul i granatów.

— Przekleństwo! znów te armaty! — mruknął jeden z żuawów. — Czyż nigdy nie zbliżymy się do nich na odległość bagnetu?

Pochyłość wzgórza osłania ich nieco, lecz mimo to tracono ludzi nadaremnie, bez najmniejszej dla siebie korzyści.

Około 9-ej generał dowodzący brygadą przybył do pułkownika.

— Zajmiesz pan wzgórze i rozstawisz tam swoich ludzi w posterunki — rzekł do dowódcy żuawów. — Marszałek Mac-Mahon raniony; generał Ducrot objął dowództwo i nakazał odwrót ku Mezjer. Do widzenia.

I ruszył z miejsca galopem.

Trzy bataliony żuwów zwróciły się w trzech kierunkach; ten, w którym znajdował się Izydor, rozsypano w tyralierkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wspólne wychowanie chłopców i dziewcząt.

Wiele się już nad tem zastanawiano, czy koedukacya czyli wspólne wychowanie chłopców z dziewczętami jest stosowne i dla obydwóch płci korzystne.

Dziwić się należy, że ta kwestya została w ten sposób sformułowana. Jakże bowiem może być coś niestósownem, co jest z natury swej koniecznem? Wszelkie w rodzinie rodzeństwo, składające się z chłopców i dziewcząt, wspólnie się wychowuje.

Rodzina zaś, jako pierwowzór zakładu wychowawczego w tej mierze jest miarodajną. O tyle tylko system wychowawczy jest prawidłowy i pożyteczny, o ile w ustroju samym zbliża się do życia rodzinnego.

Na tej zasadzie oparte zostały w niektórych zakładach wychowawczych w Anglii pierwsze próby wychowania wspólnego chłopców i dziewcząt i rezultaty tychże doświadczeń, wypadły na ogół nader pomyślnie.

Nauczyciele szkół elementarnych, do których uczęszczają chłopcy i dziewczęta, prawie bez wyjątku oświadczają się za koedukacyą.

Wyniki tych doświadczeń trudno streścić w krótkim dziennikarskim artykule. Spróbujemy przeto podać z nich najważniejsze.

Dziewczynki zazwyczaj żywszą mają wyobraźnię, skłonniejsze są do egzeltacyi t. j. pewnej przesady w uczuciach. Lada drobnostka je przestrasza, martwi, niepokoi. Zawsze skłonne do płaczu i śmiechu, więcej od chłopców wrażliwe, są też we wspólnych zabawach zazwyczaj kapryśne, obraźliwe, zmienne a z powodu wrodzonej gadatliwości i wiele więcej kłótliwe niż chłopcy.

Mężczyzna natomiast bardzo wcześnie objawia większą bystrość i ścisłość w myśleniu. Ztąd zapewne pochodzi, że zgłębiając lepiej istotę rzeczy, nie ulega tak łatwo wpływom egzaltacyi, przyjmuje wszelkie wrażenia chłodniej i trzeźwiej, nie rozwodzi się nad niemi w sposób tak gadatliwy jak dziewczynka. — Chłopiec rozgniewany skłoniejszy jest do bicia niż do kłótni, zemści się natychmiast za doznaną obrazę, lecz nie zachowuje na dłużej urazy, nie dokucza przeciwnikowi złośliwemi i szyderczemi słowami. Chłopiec też bywa zazwyczaj lepszym kolegą, wierniejszym przyjacielem. Szczera i bezinteresowna przyjaźń o wiele częściej spotyka się u chłopców niż u dziewcząt.

Wcześniej niż u chłopców budzi się w dziewczynkach ambicya, to jest chęć wyróżnienia się i odznaczenia, lecz jest ona raczej próżnością i kokieteryą, gdyż odnosi się do powierzchownych zalet. Dziewczynka pragnie być ładną, dobrze ubraną, pragnie się podobać.

U chłopca ambicya budzi się znacznie później, lecz jest szlachetniejszego rodzaju. Przedmiotem ambicyi chłopca jest dobre miejsce w klasie, dobry stopień, wyższość umysłowa nad kolegami.

Nie jest chłopiec bynajmniej wolny od próżności — i on dba o swą powierzchowność, lecz próżność nie dochodzi u niego do tak wysokiego stopnia.

Dziewczynki na ogół mało posiadają ambicyi umysłowej, jeżeli zazwyczaj są pilniejsze od chłopców, jest to skutkiem wyżej rozwiniętego poczucia obowiązku i sumienności, które to zalety kobieta zwykle w wyższym posiada stopniu, niż mężczyzna.

Oprócz tych dwu rodzajów ambicyi istnieje zarówno u mężczyzn jak i u kobiet pewna ambicya wzajemna, t. j. obopólna chęć podobania się, którą pospolicie nazywamy kokieteryą.

Jakkolwiek zechcemy nazwać tę właściwość wrodzoną obydwom płciom nie tylko u ludzi lecz i u zwierząt — każdy doświadczony wychowawca przyzna, że stanowi ona w wychowaniu czynnik wielkiego znaczenia.

Przez nią to właśnie kobieta oddziaływa uszlachetniająco na mężczyznę, i na odwrót mężczyzna imponuje kobiecie swą przewagą umysłową i również wywiera na nią wpływ dodatni.

Zastosowana w wychowaniu różnica charakteru chłopców i dziewczynek uzupełnia się nader korzystnie i może jak najlepsze wydać rezultaty.

Dziewczynka pilna, obowiązkowa, będzie dla chłopca jak najlepszym przykładem i zachętą. Chłopiec porywczy, szorstki, brutalny, będzie ulegał wpływowi łagodniejszej dziewczynki.

Dziewczynka zaś wstydzi się przed chłopcem swej gadatliwości, chęci do kłótni, wstydzi się płakać o byle drobnostkę, stara się zapanować nad sobą.

Często wśród chłopców i dziewczynek zawiązuje się szczery stosunek przyjaźni idealnej, w której nie należy zawsze upatrywać zmysłowych pożądań. Mylnem jest bowiem zdanie, że wspólność wychowania chłopców z dziewczętami rozbudza przedwcześnie zmysłowość; często już zauważono, że zbliżenie koleżeńskie mezkiej i żeńskiej młodzieży, wspólna praca i zabawa, szlachetne współzawodnictwo wytwarzając pewną swobodę w obcowaniu, uszlachetnia i podnosi charaktery, gdy tymczasem owoc zakazany, daleki, rozbudza tym większą ciekawość i pożadanie.

Do tak pomyślnych rezultatów dojść może koedukacya rozumnie skierowana i jaknajstaranniej dozorowana, gdyż zbytecznem byłoby dowodzić, że obok wszelkiej pozornej swobody młodzież nie powinna ani na chwilę zapomnieć, że są ściśle zakreślone granice, których przekraczać nie dozwala nam nie reguła lub dozór starszych, lecz poczucie własnej godności.

M. Górska.

O pielęgnowaniu zębów.

Szczoteczka do zębów — to przedmiot równie potrzebny człowiekowi, jak mydło. Równie ważnem i koniecznem jest codzień rano wyczyścić sobie zęby, jak umyć twarz Kto po każdem jedzeniu, a zwłaszcza po obiedzie, i kolacyi nie wypłukuje sobie ust, ten rychlej lub później będzie nosił w gębie niewonną kadzielnię. Jama ust jest miejscem, w którem stale przebywa, rozmnaża się i hoduje niezliczona moc bakteryi w kilkudziesięciu gatunkach dotąd wykrytych.

W ustach znajdują one wymarzone prawdziwie warunki dla swej egzystencyi i rozwoju, a przedewszystkiem: temperaturę 37 stopni, która dla ich życia jest najkorzystniejszą; nie brak im wilgoci z powodu napływającej ciągle śliny i wydzielanego śluzu; mają wreszcie podostatkiem pożywienia, na które składa się złuszczający się przybłonek błony śluzowej, ślina sama jako taka z zawartością nieorganicznych soli — wreszcie do ust wprowadzone pokarmy, których resztki w szczelinach między zębami mimo skrupulatnej nawet czystości zawsze się zatrzymują. Nic więc dziwnego, że bakterye w tak korzystnych dla siebie warunkach są stałymi mieszkańcami ust i to w pokaźnej liczbie; dość powiedzieć, że w ustach, najstaranniej utrzymywanych, jest ich jeszcze kilkadziesiąt milionów, w ustach źle utrzymywanych cyfra ich przechodzi miliardy.

Przypuszczamy, że niektóre z tych bakteryi mają w jamie ustnej pełne słuszne prawo obywatelstwa, spełniając tam jakieś godziwe i pożyteczne funkcye — że, gdyby ich nie było, byłoby nie dobrze. Ale nie ulega wątpliwości, że są inne gatunki, wpadające do jamy przez wdychiwanie lub kombinujące się w rozkładzie cząstek pokarmu — gatunki, które z ust przechodzą do przewodu pokarmowego lub do płuc i mogą wywołać takie choroby, jak tyfus, gruźlica, zapalenie płuc itd.

Na to niebezpieczeństwo zwraca dr. Gońka słusznie uwagę i opisuje szczegółowo, w sposób bardzo dostępny i zajmujący skład i działanie głównych pokarmów, którymi się żywimy. Czyni to przedewszystkiem ze względu na hygienę zębów. Ażeby dokładnie zrozumieć wpływ chemicznych przemian pokarmowych na zęby, trzeba w pierwszem miejscu poznać należycie substancyę zębów, ich skład, przeznaczenie, sposób przygotowania pokarmu dla żołądka, oraz ich nieprawidłowości i choroby. Wszystko to autor, docent dentystyki na uniwersytecie lwowskim, wykłada nam bardzo jasno, a z całym autorytetem głębokiej wiedzy, uwzględniającej najnowsze teorye i odkrycia — i długoletniego zawodowego doświadczenia.

Ażeby mieć zdrowe, silne i ładne zęby, szczoteczka nie wystarcza — nie wystarczają proszki i przeróżne wody. Człowiek powinien zachowywać odpowiednią hygienę, którą autor zamyka w trzech słowach: żywienie się, gimnastyka i czystość. Co się rozumie przez czystość już wiemy.

Mało kto wie, że zęby wymagają gimnastyki... Nie tej jednak, której trzeba szukać w Sokole lub Towarzystwie zabaw ruchowych — choć ona jest wiele pomocną — lecz tej, o którą bardzo łatwo. Gimnastyką zębów jest ich praca. Dr. Gońka poleca nam gryźć i żuć długo i dobrze, każe matkom podawać dzieciom, zamiast cukrowych pomadek, rzeczy twarde do gryzienia, suche skórki z chleba i t. p.

Lecz autor przywiązuje słusznie największą wagę do sposobu, w jaki się wogóle żywimy, do potraw, które podajemy naszym dzieciom. Naturalne pokarmy są najzdrowszymi; więc zamiast ciast i słodyczy niech dzieci jedzą żytni, gruby, razowy chleb, dużo fasoli, wreszcie potraw mącznych, a mięsa tylko tyle, ile dla ich sił i rozwoju rzeczywiście i niezbędnie potrzeba.

O, dziecię polskie, ucz się polskiej mowy
Niby pacierza z ust matki ojczyzny,
A gdy z tej mowy opadną okowy,
Kiedy po ranach zostaną się blizny
Uderz najświętszą pieśnią wyzwolenia
W błękitne niebios sklepienia.

Ojczysta mowa to kapłanka biała,
Strzegąca uczuć wiecznego płomienia,
Niewietrzejąca w trwaniu wieków skała,
Na niej budować będą pokolenia;
To niemilknąca harfa Dawidowa,
To wierna ludów królowa.

Zofia Zacharkiewiczówna.

PRAKTYCZNE RADY.

Utrzymanie lamp.

Jasne światło jest nietylko przyjemnem, ale i potrzebnem, ażeby się oko zbytecznie przy pracy nie natężało. Najlepsza jednak lampa nie będzie wydzielała jasnego światła, jeżeli nie będzie starannie codzień oczyszczona. Zanieczyszczona, rzuca matowy blask, kopci i psuje powietrze. Czyszczenie lamp powinno się tylko rano odbywać, gdyż w ciągu dnia robota taka psuje porządek domowy. Nalewanie lamp wieczorem jest nietylko niestosownem, ale bardzo niebezpiecznem. Wszystkie przybory do lamp winny być w osobnej szufladzie przechowywane; nafta nie powinna stać blisko pieca, bo jest łatwo zapalną. Lampy czyści się w następującym porządku: Najpierw zdejmuje się klosz i wyciera plamy za pomocą mydła i wilgotnej szmatki; następnie czyści się cylinder, dalej górną część palnika, na której cylinder i klosz się opiera; opaloną warstwę knota ociera się ściereczką. Okrągły knot nie powinien być nigdy obcinany, płaski zaś co dwa lub trzy dni; narożniki lub końce knota należy starannie obrównać; dalej powinno się dolny palnik oczyścić; uważać należy, aby otwory, czy to dziurki, któremi powietrze się dostaje, nigdy nie były zatkane. Oczyszcza się także palnik i zewnątrz. Po zrobieniu tego wszystkiego, napełnia się zbiornik naftą, lecz nie po same brzegi. Gdy cała lampa złożoną, czyści się podstawę. Od czasu do czasu można całą lampę mydłem oczyszczać.

Nakładem redakcyi „Prawdy,“ Kraków. — Czcionkami „Katolika,“ spółki wyd. z ogr. odp., Bytom.